

Relacja

Juliana Kuczuro

nagrana 11 grudnia 1991 w Elblągu przez Małgorzatę Strasz.

ARCHIWUM WOSHOINFORMACJI

I / 424

Na tych terenach, gdzie ja urodzony, też była AK. Ja byłem w rezerwie, bo z jednej strony były Ruskie, z drugiej strony Polskie, nad Niemnem. Ruskie jeździli rabowali, później Polacy zorganizowali się, zaczęli na Ruskich robić zasadzki. Jak oni gdzieś jechali rabować, Polacy nachodzili siedzibę. Puszcza Lityczańska – wioska za Niemnem, między Szarą a Niemnem, klin taki, puszcza większa, niż nasze Bory Tucholskie. [Rosjanie] mieli tam swoje siedziby. Ale Polacy ich tak przycisnęli, że oni już bali się wyjechać. Polaków dużo nie było, ale po trochu, po trochu i zasadzki robili. Później pomału zaczęli się organizować, werbować Polaków do Armii Krajowej.

W walce przeciw nam najgorszy wróg w tym czasie był Niemiec, ale i Ruskie też. Mało to, że rabowali, a jeszcze [gnębili] jako Polaków. Jeść muszą wziąć, ale od Białorusina nie wezmą, a od Polaka zabiorą wszystko i gołe kąty zostawią. My wszyscy chętnie wzięliśmy się koło tego. Widzimy, że Ruskie już mają przejechać przez Niemen, już tam się organizują. A my byliśmy w rezerwie, wiedzieliśmy, gdzie stoi oddział AK. Tam był oddział Suchodolskiego. Siadało się na koń, jechaliśmy, żeby dać znać, zanim [Rosjanie] się przebiorą [przez Niemen]. Na koniach przejechali to ich spotkali. Gonili [Rosjan] wpływ z powrotem.

Brat poszedł, dwa lata był w Armii Krajowej, a ja jeszcze pracowałem na gospodarce. Ale później Ruskie poczuli, że już zbliża się front, zaczęli atakować nocami, przez Niemen się skradali i rodziny, które były najczęściej podejrzone, mordowali. Ja w domu nie spałem – nigdy nie wiadomo, ludzie donoszą. Były takie Białorusiny, że jak partyzantka polska była w naszej wiosce, to oni wywieszali prześcieradło czy coś białego; nazywali na Polaków „białe”. Białe [plachty] na płot wywieszają. A tamci [Rosjanie] obserwowali i widzieli. Tak jakby im donosili; dobrze wiedzieli, że my donosiliśmy też swoim. No i ostatnio ja poszedłem też [do AK].

Później jak przyszli Ruskie, zaczęli się czepiać. Czepiali, nareszcie mnie zamknęli [w marcu 1947 roku]. Major Pogulajew. Śledztwo, na taboretce posadzili, ręce tak trzymać, on butem w kolana walił. Później ten Pogulajew dostał wezwanie na naczelnika NKWD w Grodnie, w większym oddziale rządzić.

Robią co chcą. Postawią pod ścianę i w ucho. Co uderzy to głową o ścianę. Tydzień czasu jeść nie dali. Pytał o narodowość, – „Polak”. Jak już „Polak” odpowiesz, to lepiej im się biło.

To więzienie było za Grodnem. Później przywieźli do Grodna, tam znowu inni objęli śledztwo. Tam też bili, do karceru sadzali. W karcerze woda... Posadzą na kilka dni; rozbierze do bielizny, tylko kufajkę da, spodni nie da, tylko bieliznę i kalesony. I stój. Siatka do ściany, zamykana na dzień, jak przyjdzie godzina 9 czy 10, pora spać, otworzysz i na gołej siatce śpij. A spać znowu nie dali. Jak tylko idziesz spać, zaraz przychodzi, żeby prowadzić na śledztwo. Jak kilku nas było w celi, to nie wołał po nazwisku. Przychodzi, „na literę k”. Tam Kortonowicz, jakiś inny Kozłowski, Kuczuro, „o!” Żeby nie słyszeli z innych celi, kto tu jest.

W karceru siedzisz, później wołają na śledztwo. „No jak, namyślałeś się chyba tam, spać nie mogłeś”. Nic się nie namyślałem. Raz, drugi raz. Straszyl, że powiesz, nie powiesz. Ja mówię – „Dobrze będzie, jak powiesz. I tak ja od was żywy nie wyjdę, będę miał skrócone męczenie”. „Chciałbyś. Co ty myślałeś, że nasze fabryki, tyle papierów na ciebie marnujemy, będą pracować na takich jak wy za darmo?”

Myśmy mieszkali w piwnicy pod śledztwem, a u góry było kiedyś niemieckie gestapo, później te ruskie NKWD, całe śledcze gabinety. Jak prowadzili na śledztwo, słycać było jęki, krzyk wieczorem. Mnie trzy dni przetrzymali w karcerze, później dali do ogólnej celi, „bo padochnie i tych papierów nie będzie komu odrobić” – mówi. „Chciałbyś, żeby cię powiesili; pokopiesz kanały, a potem sam padochniesz”.

W tym czasie w więzieniu był taki Pawłowski, kawał chłopca, mocno go bili na śledztwie. Jego to zgniewało, że śledczy tak go bił. Schwycił za nogę taboret, na którym siedział, i śledczemu dowalił. Oni tam mieli przycisk alarmowy; wlecieli, tym taborkiem zbili mu głowę, że kawałek kości nie miał. Wzięli do szpitala więziennego. Tam kość wyrzucili, skóra ruszała się. On nam to wszystko opowiadał, po drobno, a później zaczął dostawać takiej nienormalności i zwariował. Później go wzięli, niby do szpitala więzienny; jak wychodziliśmy na spacerki to przez kraty krzyczał do tych, co na wyszkach siedzieli, taki nienormalny. Kawał chłopca zniszczyli.

Mnie później sąd Trybunał Wojsk NKWD skazał na 10 lat.

Jak siedzieliśmy pod śledztwem w piwnicach, wszy nie dawały nam spać nocami. Przez pół roku nie było łaźni. Wszy tak chodziły, że jeden wyciągnął swoją, drugi swoją, puszczałyśmy je na deski. Wszy walczyły, a my kibicowałyśmy. A taka była Kukuszkina, jej mąż był tam nad całym korpusem, a ona *nadzierateliq*. Spojrzała przez judasza, „Co tam za krzyk?” Wszy walczą, a my kibicujemy. „Wszy macie?” – „A co, nie wiecie, że my mamy wszy?” Przygoniła lekarkę, ta przyniosła proszki, azotoksem przysypali. Później, w więzieniu, jak już osadzili, ganiłi nas do łaźni, tam była specjalna, jak oni nazywali, *kamera prażarka*. Ubrania wywieszało się na takie drążki – w obozach też tak było – i oni miejscami parą dusili wszy, miejscami ciepłym powietrzem. To już wszy nie było.

Jak osadzili, siedzieliśmy jeszcze w dużej celi, aż przegonili na tzw. kwarantannę. Przyszędłem tam jeden z pierwszych, nas dwóch czy trzech przyszło, a później wielu innych nagonili. My zajęliśmy sobie miejsce na ogólnej pryczy, okna stale było otwarte, ale kraty, duszno. Zamiast kibla była beczka, z pokrywą. Całą noc nikt tego nie wynosił, dopiero rano wypuszczali. Po kolei dwóch miało dyżur, wynosili na drąg tą beczkę, wylewali; smród, nie daj Panie Boże. Tak było ciasno, że jak leżeliśmy na pryczach, to pod komendę się przewracali. Podłoga betonowa, na

niej leżeli pozostali [więźniowie], normalnie na tym betonie. Jak przyszedł w tym ubraniu, tak zwinął się i leżał. Jeden przyszedł z ładną jesionką, leżał blisko tej becзки, bo nie było tam dalej miejsca, [wszyscy] zajmowali jak najdalej [od becзки – kibla]. Przez wierzch poszło, cały mokry był chłop. Bójki zaczęły się. I tak nie można przejść jeden koło drugiego, a jeszcze zaczęli bić się.

Nareszcie skończyły się te dni, już zapomniałem, 21 chyba; nie pamiętam ile dni trzeba było kwarantanny odbyć. Jeszcze z początku dali dwóch *batowików*, jak oni nazywają, Ruskich. Ja jako jeden z pierwszych tam byłem. „A, to ty jesteś *kontryk*, ty naszego brata – mówi – ubijał”. Ja mówię: „Nie wiesz, że Armia Krajowa nie była przeciw nim?” [Skoczył] do mnie, do bójki. Ja mówię: „Co ty chcesz, prawo jakieś swoje...” Ten drugi: „Daj spokój”.

Osądzili. Po jakimś czasie można było pisać *żałoby* do tego samego trybunału, który mnie osądził. Pisaliśmy, bo gadali, że coś jeszcze się zmieni, że może wojna będzie, żeby jak najwięcej przeciągnąć. Jak napiszesz *żałobu*, to 21 dni czekało się na [odповідź]. Później zanim jeszcze zorganizują etap na wysyłkę... Żeby jak najdłużej tu przebyć – nikomu się nie chciało jechać na Północ. Wiedzieliśmy i tak, że nic z tego, napisało się parę słów, oddało się. Przysłali – to samo, zatwierdzone, każdemu jednemu, niektórym jeszcze dowalili więcej, jeszcze 5 lat czy ile dolożyli. Były takie wypadki.

Ksiądz był Gorba z Wołkowyska, proboszcz, taki tęgi. Kilka razy go sądzono, różne wyroki dawali. I po 2 lata, i po 8 i 10, a on wszystko składał [*żałoby*] – bo nie mieli podstawy żadnej, tylko wiedzieli, że księża walczą w kierunku polskości, i trzeba ich izolować. Ten ksiądz jeszcze przede mną był w więzieniu ze 2 lata i po mnie. Ja odjechałem to słyszałem, że dali mu 2 czy 8 lat. Później wywieźli go, dokładnie nie wiem, jeszcze gdzieś pisał.

W więzieniu był jeden Węgier, był w niemieckim wojsku, później przeszedł do partyzantki polskiej i potem też popadł. Taki był sprytny, że potrafił drucik znaleźć na przechadzce mosiężny, na posadzce cententowej wyostrzył i jakimś szkiełkiem wydrapał uszko – i igła była. Szachów też w więzieniach nie było, robili z chleba – jak ktoś otrzymywał z domu, to mógł poświęcić swój kawałek chleba. Rozmaczali, wyciskali z niego kleik i robili szachy; [wychodziły] jak bakielitowe. Mieli zdolności ludzie. Różne kostki, serduszka wyrabiali.

Później powieźli nas na etap. Wyprowadzili z więzienia, to było lato, w lipcu zdaje się. Myśmy nawet nie znali jaki dzień, gazety jak komuś dali, to rwali na kawałki; składaliśmy i czytali. Dadzą machorkę, jakiś tytoń do palenia, to nie było w czym skręcić. [Więźniowie] prosili, żeby gazety dali; dostawaliśmy porwane na kawałki.

Aresztowany zostałem w 1947 w marcu, osądzony 21 czerwca 1947. Wywieziony [do obozu] w lipcu 1947, na etap.

Załadowali nas, wagon podobny jak osobowe, tylko są przedziały, takie klatki, kraty; po korytarzu chodził z pepeszą Rusek. Nagonili nas dużo. Złodziejów, nie złodziejów, wszystkich razem. Dwie półki na dole, można było siedzieć, ale napchali nas, że nie można było nawet siedzieć i nie dawali wody, gorąco. Postawią na bocznicę, w *Lidzie* stał 2 czy 3 dni. A to gorąco, upał, wody nie dają, „nie ma wodakaczki”. Bez wody, słone ryby dadzą, chleba suchego. Słone ryby, *komsa* tzw., aż żółta od soli, specjalnie, żeby [ludzi] wydusić. Czy ktoś do ubikacji chce czy nie chce, i tak nie puszcza, raz dziennie puszczają. Jak dadzą pić wody, ja na szczęście byłem młody miałem zdrowy organizm, ale niektórzy później dostawali rozwolnienia. Musieli robić do butów, a nie wypuścili [ich z wagonu].

[Jechał ze mną w wagonie] jeden Rusek [więzień], widać żołnierz, tylko bez pasa. Powiedział, że będziemy zgłaszać pretensje jak dojedziemy na miejsce, że źle traktują, że nie dają wody, że to, że tamto. [Strażnicy do niego]: „Będziesz zgłaszać? Ano wychodź tu!” Nałożyli mu na ręce kajdanki, a te kajdanki są takie, że jak trochę ruszysz rękami – mają takie zębatki – to zaskakują [się] i coraz dalej przyciskają. I z powrotem [dali] go [do wagonu]. Na półce siedział, to później piszczał – ręce granatowe się zrobiły. No i znowu zaczęliśmy wszyscy krzyżeć: „Zobacz człowieku, jemu ręce poodpadają!” No to: „Ładno, chodź tu” – [strażnik] wziął i zdjął mu kajdanki.

Raz i mnie o mało nie trafiły się te kajdanki; nie wiedziałem. Jechaliśmy, a nie wolno było na podłodze leżeć. Znaczą wiedziałem, ale myślałem... Oni tam uprzedzali. Ani głową do ściany nie wolno, ani na podłodze – tylko głową do korytarza, tam była siatka, żeby on widział. Bo mogłeś piłować, drapać jakimś drutem czy coś. Podłoga dosyć czysta była, miałem jakieś swoje rzeczy, rzuciłem pod głowę, ładnie sobie spałem. Ja wiedziałem, że [trzeba] głową do korytarza i tak leżałem, ale że na podłodze nie wolno – nie wiedziałem. On [strażnik] przychodzi i liczy, [tych leżących na półkach]. „A gdzie jeszcze jeden?” Ktoś mówi: „Tu, pod siedzeniem” – „Wychodź!”. Otwiera drzwi, wyjmuję kajdanki. Ja mówię: „Nie wiedziałem, drugi raz już nie pójdę tam...” – „Teraz będziesz wiedział”. Zaczęli inni gadać. [Darował mi]; „Ale jeszcze raz...” Mało brakowało.

Wieźli nas tak aż do Orszy. I to dłuższy czas jechaliśmy, bo jak na bocznicę wstawią... Czy specjalnie tak dusili, czy co?

Przywieźli nas do Orszy, na *przesyłne* więzienie. Duża cela. Tam już było przyszykowane na przyjęcie gości – cała becзка drewniana wody; wiedzieli, że będziemy spragnieni. No to napijemy się. Ale znowuż nie każdy miał czym wziąć wodę. Niektórym udało się, że mieli jakiś kociołek, paru takich było. Mieli dobrze schowane albo źle ich kontrolowali. Bo jak nas wywozili, to nawet żabki w butach oberwali; ani paska, bo może się powiesić, ani, jak to kiedyś w spodniach było, sprzączki czy guziki metalowe. Wszystko musiało być powyrywane. Jak ktoś miał metalowe to obszywał szmatą, igły też nie wolno było.

Jak dopadli do wody... Nie było mowy podchodzić. Ten chce i tamten chce, ten rękami bierze... Jak to Ruskie, jeden drugiego zaczęli okładać różnymi słowami. I bójki, jeden drugiego kociołkiem w łeb. I nareszcie tak nacisnęli się na beczkę, że ją przewrócili i wylali wodę. Niektórzy z podłogi brali wodę i pili, było naprawdę sucho, ale ja jeszcze nie...

Po jakimś czasie wywołują na komisję i kogo na jaki etat, gdzie wziąć. Mnie też zawołali, później do celi rzucili politycznej, siedzieli tam znajome chłopaki niektórzy; [byliśmy] razem. Już tam była woda, napiłem się i dobrze było. Zaraz w tym samym dniu do pociągu mnie przydzielili i z powrotem stamtąd. A jeszcze jeden taki Blaszewicz (?) był ze mną, razem jechał, mówi: „gdzie się da, będziemy uciekać”. A my nie wiedzieliśmy, jak będzie w tych obozach. Zobaczyliśmy, jak tam [w Orszy] zagrodzone. „O, takie druty można będzie poprzecinać itd.” Tam stało wszędzie pełno [żołnierzy] na zewnątrz i karabiny maszynowe na *wyszkach*...

Załadowali mnie do wagonu i wrócili nas w kierunku Mińska, stacja Nowosady (Orsza była trochę dalej w kierunku Moskwy). Główna trasa pociągów na Moskwę z Mińska, zaraz 8 km Borysowo było, i obóz — stacja Nowosady. Do samych torów niedaleko, obok las. Nowosady należały do mińskich obozów, „K-20”, łagierna kolonia.

Obóz był tzw. inwalidzki, ale inwalidy musieli pracować tak samo, jak i [zdrowi], a jak ktoś nie pracował, to mniej chleba dali. Tam całe brygady — wojskowym, co byli na froncie, jako III grupy inwalidom dawali 75 rubli renty, a co to było? Jak do nas przyjeżdżali, na tereny polskie, to 700 rubli płacili za pud żyta (pud to 16 kg.) Jak taki inwalida mógł wyżyć za 75 rubli miesięcznie? Przychodził do naczelników, do dyrekcji, z kulą i żądał — daj mi jakąś robotę. Tą kulą naczelnikowi dowalił i później jako za *pokuszenie* na władzę dają mu artykuł i do obozu. Skakali jak koniki polne, bez nóg. W drugim obozie widziałem też jednego Ukraińca. Tylko na tyłku skakał, rękami [się podpierał]; 25 lat [wyroku] miał.

W tym czasie, jak ja siadłem [zostałem aresztowany i sądzony] to 25 lat nie dawali, tylko 15 i 20 katorgi. 10 lat to było pospolite. Żeby później [mnie aresztowali], to miałbym 25 lat [wyroku].

Wzięli mnie na cegielnię. Wszystko ręcznie. Ręcznie kopali glinę, może 200 m, może więcej, stamtąd nosili na nosilkach. Wykopane doły, deskami zamocowane, żeby ziemia się nie zawałała. Wrzucano w nie glinę, napuszczali wody, żeby rozmiękała. I szły karawany z tymi nosilkami. Rozmiękała glina, po jakimś czasie specjalnymi łopatkami do *glinomiałki* — jak kierat. Łopatki jak w maszynie do mielenia mięsa, że jednocześnie miesza się i glinę wciska do dołu, rozrabia ją. W dole znowu z jednej strony była podłoga, deskami ładnie oprawiona. Wysuwała się taka kwadratowa „kielbasa” z tej gliny. Jeden [więzień] stał i szpadłem to obcinał. Jeden odcinał, a drugi wyrzucał te kawałki, podjeżdżał jeden taczka, rękami tą glinę brał, inaczej nie. Taczka podwoził, gdzie kobiety formowały cegły. Inne znowu odnosiły i na deski stawiały, żeby cegła trochę na słońcu przeschła. Później wypalali i już były cegły.

W tym kieracie zatrudniali [ludzi] bez rąk. Mogli nie pracować nigdzie, tylko otrzymywali 450 g chleba, a już jak tam popracowali, to dostawali 600, nawet jakby żadnej normy nie wyrobili. A jak wyrobili normę, to dali 100 g więcej czy coś. Ale oni przeważnie tak aby 600 otrzymać swoje, i na zmianę, co raz dawali innych. I tak chodzili w tym kieracie, bez rąk.

Najgorzej mieli Cyganie, oni leniwi są do roboty; było dwóch Cyganów. Cwani byli — podejda, co rusz odpoczywają. Gdzie Cygan był, wszędzie Cyganka koło niego, zaraz mu coś tam przynosiła.

Tak się tam męczył. Później uznali, w tej glinie były kamyki, które zawierały wapno. Jak się wypaliły, a później były chłody, to cegła pękała. No i zamknęli [cegielnię]. To nas pogonili na inną robotę. Las był wycięty i karcze wykopywać. Jeszcze świerkowe to dobre, bo na wierzchu korzenie mają, a jak przyjdzie brzoza czy sosnowe — więcej pionowo idą, trudno było. Między korzeniami źle kopać, siekierami obcinali[śmy]. Jak najwięcej trzeba było korzeni wykopać, bo oni chcieli zrobić gospodarstwo rolne na tym miejscu.

Gdy w jednym miejscu rozkarczowaliśmy, w drugie miejsce prowadzili nas do roboty, też wykarczowywać. Obok było pole, kołchoz. Widzieliśmy kobiety, Rosjanki, które same orały, bez konia. Osiem kobiet zaprzęgało się i ciągnęły pług. Osiem na zmianę, jedna trzymała za pług. W tym kołchozie, jak Ruskie uciekali to zabrali konie, później Niemiec szedł — zabrał znowu, później znów. Wszystko poginęło, ni traktorów, ni koni, nic nie było. Trzeba było siał, orać, to same ciągnęły w tych kwiecistych sukniach. Wołają do naszego konwoja: „Gdzie ich prowadzicie, dajcie im szpadle, niech tutaj kopią. Będą oni mieli chleb i my, a tak i oni głodni i my głodne i musimy same ciągnąć pług.” A ten: „Ładno, ładno, nie bałtaj.”

No i na tej *razkarczowce* byłem. Dawali nam zupę — wytłoki sojowe, trochę rzucone, aby nafarbować. Wypije się, kawałek chleba zje i dalej [karczować]. Jak wytłoków nie mieli, to pokrzywy nakosili, nie żalowali, trochę ryby słonej nawrzucałi, w misce już było gęsto. Pokrzywy.

W tym samym obozie, w Nowosadach, był też barak kobiet. Kobiety niektórzy tam ładne były. Później wyszła ustawa, że w zależności od artykułu, czy polityczne czy niepolityczne, jeżeli kobieta ma dziecko czy jest ciężarna — wypuścić do domu. Wtedy odgrodzili je, dwa baraki pobudowali. Dużo ich nie było, chyba z 700, dwa baraki zasiedliły. Stołówkę miały w naszym zagrodzeniu, gdzie my mieszkaliśmy. Była brama i konwój tam już z bronią — po obozie nie wolno im było chodzić, bali się, że mogą więźniowie broń odebrać i zaatakować. Więc [funkcjonariusze] z nadzoru tylko prowadzili [więźniów przez obóz], tam bramę otwierali, konwój [wtedy] po bokach. Jesienią ciemno, nieraz [obóz] nie oświetlony, jak nawaliła elktrownia. To naokoło za grodzieniem palili stare opony, pudełka po konserwach, nalewali jakiegoś dziegdiu i się palili z szmatami, aby płot ogradzali.

A tutaj kobiety były prowadzone do stołówki, później z powrotem je wszystkie naraz odprowadzali. Niektóre zdążyły uciec do chłopów, do baraków; chciały mieć dziecko, żeby wyjść na wolność. A [nadzór] chodził później z latarkami, szukali. Komedia była.

W obozie bardzo paskudna sytuacja. Głód był na Białorusi, ubrań [w obozie] nic nie dawali. Swoje ubranie i obuwie; jak zerwało się, to nie mieli [nam] co dać. Z opon samochodowych — specjalne mieli przyrządy — włókno,

jakie jest pod spodem, wrywali. Wrywało się takie ładne kawałki, z tego później szewcy szyli kalosze, tzw. *czunie*. Nawijali byle jakich owijek i w te kalosze, dziurki zrobione, sznurki podwijały się i szło się. Jak było sucho to było sucho, jak mokro to od razu mokre wszystko.

Była tzw. *samoochrana*. [Przed moim aresztowaniem] u nas we wsi taki był jeden, ganiał ludzi, żeby oddawali zboże, a później coś narobił i jego posadzili. Przyjeżdżam do [obozu], do Nowosadów, patrzę — on jest, jako więzień. Normalnie miał zieloną kufajkę, jak wojskowi, zimno było, i czapkę okrągłą, tylko już bez gwiazdki. [Wchodził w skład *samoochrany*]. No i ochraniali. Mieli za zagrozeniem barak, bez konwoju byli sami i w tym baraku mieszkali.

Pewnego razu jeszcze na rozkarczowanie nas nie poprowadzili, bo konwój miał jakieś polityczne zebranie, wszyscy na raz. To — myślimy zadowoleni — będzie święto. Patrzę, godzina 10, przylatują. „Wychodzić na bramę.” Mówią: „Nie pójdziemy na to miejsce, bo jest za późno, za daleko. Pójdziemy zrobić porządek na cmentarz.” A tam był cmentarz, tzw. „zielony dąb” — dolina, miejsce specjalne wybrane, że jak wykopiesz dół, to woda podchodziła. Na jesieni kopali doły na zapas dla tych więźniów, którzy umrą. Nie było mowy, żeby w zimie ktoś mógł zakopać. Miejscowi, którzy blisko mieszkali, mieli wyrok pół roku czy coś, za przestępstwo w kołchozie, później w obozie byli bez konwoja. Dali takiemu konia i wywoził nieboszczyków. Na wachcie w obozie przebijali każdego bagnetem, żeby żywy nie został wywieziony. Później trochę nieładnie im było, że przebijają bagnetem, to młotkiem w łeb stuknie parę razy...

Do nogi nieboszczyka przywiązywali blaszkę, na niej wybity numer formularza jego sprawy. Jak został zakopany, stawiali słupek na mogile i też taką blaszkę przybijali z wybitym numerem.

[Jak ktoś umarł], zawsze mówili „poszedł pod zielony dąb”.

Przyszliśmy na ten cmentarz. Tam dużo nakopanych dołów. Ten bezkonwojny przywoził trupy zimą — przeważnie nocą wywoził — rzucił dwóch czy ilu do tego dołu, śniegiem tylko przygarnie i ucieka. No i ci ludzie tak leżeli. Tylko koszulka trykotowa i majtki, tak jak umrze, tak go wywoził. Nareszcie wyciągali [ciała] wilki, psy. Miejscowi ludzie zaczęli potem skarżyć, że może powstać jakaś zaraza, choroba; widzą — noga, ręka, psy czy wilki, porozciągane. To później zaczęli już robić trumny z obrzynek. Aby tylko nieboszczyk nie wypadł czy wilk nie wyciągnął, trumny ze szczelinami. Dobrych desek nie dali.

To był maj czy jakoś tak, że [mróz] puścił. Musieliśmy robić porządek na tym cmentarzu. Tak my tam się namęczyliśmy, że ja wolałbym miesiąc ciężkiej roboty niż na tym cmentarzu parę godzin. Ludzie [trupy] porozrywane niektóre. Tam ręka, tam noga, niektórych połowy już nie było, pogryzione. Niektóre tylko trochę, a niektóre nie czepione jeszcze przez zwierzynę, jak na dół były wrzucone, tak leżały. Ale mało, że śnieg nie stopnieje, tam jeszcze paskudnie było, bo wszędzie w dołach pełno wody. Jak teraz ich zasypywać, jak nieboszczyki pływają w tej wodzie, rozpuchnięte. Co rzucisz ziemię na niego jedną łopatą, drugą — nie chce nieboszczyk na tamten świat iść, przewróci się, ziemia zsunie się z niego i on dalej pływa. Weź go zakop! Nie zakopiesz. Wody wybierać stamtąd nie było czym. Żebyśmy wiadro choć mieli... Ale później wpadliśmy na pomysł, żeby wyrąbać — siekierę mieliśmy przy sobie — widły, takie rogatki; będziemy trzymać za głowę i za nogi w wodzie, a reszta będzie zasypywać. Inaczej nie da rady, zawsze jakaś przewaga zostaje i ziemia do wody spadała. I tak trzymaliśmy. Narzucają ziemię, woda przy tym chlapie, a ona nieprzyjemna, bo z nieboszczyków, śmierdzi. Jakby piekło na ziemi. Ochlapany, jeden na drugiego krzyczy... Jakoś zakopaliśmy to wszystko.

Później prosiliśmy, żeby nam zezwolili do łaźni; poszliśmy od razu. Śmierdziało wszystko — i buty, i my sami. Nieraz przedtem człowiek sobie myślał, żeby to życie skrócić, bo i tak... Ale popatrzałem — w takiej sytuacji nie chcę. Chociaż po śmierci, żeby był traktowany jak człowiek.

Co masz [na sobie], to wszystko; żadnego postania. Ubranie parzy się mokre na tobie, podścielesz je, buty pod głowę, żeby ktoś nie skradł, jeszcze jakieś owijki... Nawet *czunie*, też trzeba było chować, bo ktoś ma gorsze to ci jeszcze zamieni. Wstaniesz rano, nie ma, a ich [nadzoru] nie obchodzi.

Pluskwów mnóstwo na pryzkach, drewniane, stare wszystko. Tylko pociągniesz rękę — szyja, wszystko było w krwi. Najgorsze są małe, młode pluskwy. W nocy słycać, jak idzie po suficie, naprzeciw ciebie wychodzi i wyczuwa, jak człowiek leży; zaraz skacze, kap, kap. Później zaczęli parzyć pryzce, deski; już było lepiej z pluskwami. A tak w nocy nawet spać nie mogłeś, ciemno w tym baraku. Tylko siedział *dniewalny* (dyżurny) przy progu, *kapciłka* stała.

Apel, *prowierka*. Liczą, liczą po pięć, liczą, jednego brak. Stoimy, zimno, z siedem razy nas liczyli. Po jakimś czasie jeden mówi: „Patrzcie!” Koło szpitala był śmietnik, kłapa podnosi się i wychodzi taki mały jakiś Rosjanin. Oczy zaropiałe jak u kociaka... Jeden z głodu umrze i nie weźmie, a drugi taki, że łapie cokolwiek. I wychodzi. „No — mów — jest”, znalazł się.

Sam widziałem, staliśmy w kolejce przed stołówką. Taki był jeden, młody chłopak, wysoki. Chodził, brał śmieci, co z kuchni wypływało. Tam była kanalizacja, z drewna, i kłapa, żeby wybierać kapustę czy jakieś ości z ryby; to on otwierał i do kieszeni. My stoimy, krzyczymy na niego, a on poszedł. Niewytrzymali są ludzie.

W tym samym obozie w Nowosadach, Polacy zrobili podkop. Tam była cegielnia i portiernia, czy jak oni nazywali wachta; z drewna, z desek zbita. Później mieli ten obóz przerobić na wojskowy, jak oni nazywali, *garadok*, koszary mieli zrobić. Więc portiernię zbudowali z prawdziwego zdarzenia, murowaną z cegieł. To było na stronie od portierni starej, obok trzeba było zrobić jeszcze ustęp, taki przenośny, z desek. Na 12 osób pod rząd. I to Polacy robili, tam była

zona robocza, robili tam wozy, sanie, różne rzeczy, później trumny, całe stosy stały na zapas. Pilowali deski. Elektrownia swojej roboty była. Ja pracowałem w tym czasie jeszcze na cegielni.

Wykopali ustęp, na wierzchu zrobili z desek, ładnie, klapę do wybierania. Później doszli do wniosku, że to blisko jest płotu i żeby zrobić z tego podkop. Ustęp był już gotowy, dosyć duży – więc robili norę i piasek [wsypywali] do tego ustępu. Jeszcze nikt z niego nie korzystał, na razie ta nowa brama nie była używana. I doszli [więźniowie, Polacy] aż do płotu [robiąc podkop], bo co dzień tam pracowali; 9 ich było w brygadzie, po kolei wchodził tam i kopali sobie, mieli krótki szpadek, [wybrany piasek wrzucali] do ustępu. I tam [w ustępie] było już pełno ziemi. Ale [wszystko] byłoby dobrze, do płotu już doszli, już ten dzień mieli. Tam był taki gęsty płot [tj. ogrodzenie obozu]. Jeden płot był z drutu, tam już [się podkopali], [został] tylko środkowy płot i za nim jeszcze drut. Ten środkowy był z kołków, niezbyt grubych, obciosanych albo nie, jeden przy drugim przybijanych, wysokich może z 5 m. I doszli do tych kołków [podkopując się], tylko [trzeba] było wybić dziurę do góry i do tego płotu. To miało nastąpić dopiero jak szarówka będzie.

No i czekali aż ściemnieje, przyszykowali sobie trochę jedzenia, żeby wziąć ze sobą. [Czekali], zanim [więźniowie] z roboty zejdą [do obozu]. No i był taki [człowiek] z kochoza, stary w okularach, miał beczkę zbitą z desek i wywoził z tych ustępów. Miał czerpak, wywoził na pole to wszystko. Teraz przyjechał do [tego nowego, jeszcze nie używanego ustępu]. Otworzył klapę i patrzy, że tam tylko ziemia. Nie wiedział, myślał, że jest może używany; a tam tylko ziemia. I później do *nadzieratiela* zauważył: „U was zawałała się ta wasza *uborna*”. A ten mówi: „Jak to zawałała się?” Widział, jak to ładnie było wykopane, oszalowane deskami. Mówi: „Widziałem, tak dobrze zrobione i zawałało się?” Poszedł zobaczyć. „A, to podkop” – doszedł do wniosku.

Zaraz sprowadzili psa, pies powąchał – jest coś. Zaczęli stukać, pukać, przebili, przełamali; półokrągłe było sklepienie – wyciągnęli jednego i później wszystkich. [W obozie] były „gumowe ucha” zaraz. „A, było widoczne, że stałe jednego [z nich] nie było, mówili, że choruje, że to, że tamto”. Bo sąsiednie brygady widziały to wszystko, ale zawsze gadali, że ktoś na chorobowym i domawiali się. Oni [nadzór obozowy] dowiedzieli się; całą brygadę zamknęli. Później był sąd pokazowy. Była świetlica zbudowana, scena, nieraz tam kino czy jakieś występy robili. Tam nas wszystkich przygonili, żeby pokazać. No i dali [tym, którzy przygotowywali ucieczkę] po 20 lat. Że „cały obóz mógłby uciec przez ten podkop, wszyscy po kolei. A co wy chcieliście robić? Mieliście robić dalej swoją partyzantkę.”

Ich do nas już nie pokazali. To byli Polacy. Znałem ich [tylko] z widzenia, bliżej – nie. Jak przyjechałem, wzięli mnie na cegielnię; wszystkich nawet nie miałem czasu poznać.

Wywieźli ich na inny obóz, od razu. Tylko później jednego spotkałem po latach, to mówił mi prawdę. „Później – mówi – nas pytali jaki wyrok”. Jak przyjeżdża się do innego obozu, to mają formularze, pytają o wyrok. To oni zaczęli mówić o tym nowym wyroku, co dostali po 20 lat. Mówią, że 20, a [nadzór obozu] – że „nie 20, macie po 10 lat”. Oni [więźniowie] myśleli, że to może jakiś stary formularz, że nowy jeszcze nie doszedł, ale później cały czas [tak było]. Oni [władze obozowe] tylko dla postrachu im doczepili [nowy wyrpk za usiłowanie ucieczki]. Tylko tyle, że jeżeli ktoś ucieki i go złapali, to mu wracali to co odbył [wyrok zaczynał odsiadywać od nowa], a później zaczęli nawet i dokładać po trochu.

Robiliśmy wąskotorówkę, posypywaliśmy tory drobnym kamieniem, żeby ze stacji można było produkty do magazynów obozowych zawozić wagonikami. Od lasu siedział konwój. Październik był. W brygadzie ze mną był Żeradziewski, Białorus, mieszkał przedtem koło Mińska. Kiedyś mi mówi: „Można by było uciec, u mnie, koło Mińska, tyle jest lasów; mogliby tam lata siedzieć i nikt nas by nie znalazł”. Ja mówię: „Już nie chcę znowu przeżywać to samo. Długo nachowamy się? Rano pójda i znowu nas złapią”.

Ale on nie dawał za przegraną. Nie wiem, jaką on miał wiarę – nie prawosławną, inną chyba, jakąś specjalną. Bardzo nabożny, modlił się i modlił. Nareszcie pewnego razu, w październiku, przy końcu, przymrozki już silne były, on nałożył krótki kozuch, na to jeszcze płaszcz – dawali nam w obozie wojskowe płaszcze, tylko je obcinali. Walonki stare nałożył, tak się ubrał. Mówię: „Co ty tak się ubrałeś?” – „A marzłem”.

Tam blisko przechodził pociąg. Konwój od lasu tylko, bo tu były tory, za torami pole. Tak, że nikt z tej strony nie stał. A z nim jeszcze stał nasz, jak oni nazywają, *dziesiątnik*, też z obozu; był jako majster co prowadził robotę. I raptownie pociąg szedł, tzw. międzymiastowy, wiedzieli, która godzina – o 10.10 jechał. Za semaforem pociąg zaczął nabierać rozpędu, pary jak dał! Był już mróz, para goniła na las. Żeradziewski w tą parę wskoczył i do pociągu, i nikt go nie zauważył. On miał kiedyś gdzieś przestreloną jedną rękę. Tą ręką schwycił się za poręczę i już był na stopce jedną nogą, ale nie mógł utrzymać się. I spadł. Ale pociąg jechał w kierunku obozu, może 10 metrów, może 20 od obozu przechodził. I Żeradziewski w kierunku obozu biegnie razem [przy pociągu]. Pociąg jedzie. Ktoś to zauważył, mówi: „Patrz, ktoś spadł z pociąga!” Konwój – „To nasz!” I bach! do góry, nie mógł do Żeradziewskiego strzelić, bo w pociąg by trafił. Ale później pociąg go wyprzedził, a on upadł. Ten strzelał do góry. Na nas wszystkich „Łożys’!”, jeden przy drugim. Jeden nas pilnował, a drugi poszedł po Żeradziewskiego. Zanim go przyprowadził, to kolbą, pepeszą, jemu w plecy walił, ten tylko stękał. Później przy nas jak mu dali kolbą w szyję, to się przewrócił. We dwóch mało, że kopali go kolbą, to jeszcze nogami w żebra. Stękał, a my patrzyliśmy tylko. Na nas: „Leżeć!”.

Później wzięli go, poprowadzili do obozu. Już go nie wypuścili więcej za zagrodzenie [obozu], tylko był w brygadzie *reżimnej* – więcej ciężkie roboty im dawali i na noc zamykali. My jak przychodzili [z pracy], to mogli jeszcze chodzić po obozie, a ich zamykali jak w więzieniu. Ale Żeradziewski z domu dostawał, co raz jemu żona przywoziła, niedaleko było. Trochę brygadziście wsadził, to chodziła za zagrodzenie ta brygada, jego nie brali, bo już nie wolno. To on objął się, chodził, potem mu wszystko przeszło, co go tam natłukli. Rozmawiałem z nim. Ale już po nim zaraz i

mnie nie puścili. Już zaraz ktoś doniósł, że ja był mu dobry kolega no i coś tam dojrżeli. Raz wyprowadzają mnie za zagrodzenie, nie ma mojej kartoteki. A, gdzieś zarzucili, drugi raz będzie. Drugi raz — konwoj mówi: „Ja już nie biorę, starczy”. I mnie z powrotem [zostawili na terenie obozu].

Później brygadzysta dowiedział się. Mówi: „Wiesz co, coś tam *uperupetnomoczen* — śledczy obozowy specjalny, wszystkimi tymi sprawami zawiaduje — dojrzał ciebie, i nie puścili” [do prac poza obozem].

No to później woziliśmy wodę na elektrownię beczkami, studnię wybierali.

Z tym obozem później się pożegnałem. Spodziewałem się, że do Polski wywozą, ale nie wywieźli i powieźli nas na daleki etap. W tym czasie, jak Polacy te podkopy mieli, Ruskie mówili: „Polacy spokojnie siedzieć nie mogą”.

Przedtem, w innym obozie, zdaje się w III kolonii, mińskie obozy, Polacy zrobili też ucieczkę. Po prostu rozłamali płot.

Kopali jakieś wykopy, znaleźli jakąś broń czy amunicję, jeszcze z wojny. Polacy robili na warsztatach, więc to ładnie oczyścili, zastosowali sobie i zorganizowali ucieczkę. Też tam jakiś pułkownik był, dokładnie nie wiem; jeden [człowiek], który tam był, opowiadał — był dozorcą [potem u nas], w kobiecym obozie. Bardzo mało z nim rozmawiałem, bo nie miałem czasu. Ale wiedziałem o tym dobrze jeszcze zanim go widziałem.

Oni [uciekający Polacy] zdjęli tego na wyszce, Ruskiego, przecięli druty — tam jeden rząd drutów, płot gęsty, na płocie karnisze z drutu, a jeszcze nad płotem 2 albo 3 rzędy druty z prądem puszczone, oświetlone wszędzie. Przelamali płot. Tam było dosyć dużo Polaków, zorganizowali się. Zabili paru z *ochrany* i płot przelamali, las był niedaleko, mieli zamiar do tego lasu dostać się. Bez żadnego skaradania się, po prostu na siłę. Poszli, przelamali się, ale zaraz jak ochrana połapała się — wyskoczyli, postawili karabiny maszynowe i zaczęli po polu siekać. Żadnemu nie udało się uciec, 34 zabili na miejscu. Jeszcze potem konwój szedł i sprawdzali, czy kto żyje. Nie patrzyli, tylko bagnetem przebijali nogę. Jak nie rusza się to już... Później te Ruskie właśnie mówili: „Polacy spokojnie siedzieć nie lubią”.

No i jeszcze tak byli nastawieni wojskowi, konwój, tak im nabili do głowy, że raz jeden pytał mnie [później, w następnym obozie], w Karagandzie „czy to prawda, że u was są sportowcy, że mogą przez ten płot przeskoczyć?” Ja mówię: „Słuchaj, tu są różni sportowcy, ale widzisz, że kilka metrów przed płotem są jeszcze druty, zagrabione, granica, z drugiej strony druty, karnisze...” Przez płot na pewno by przeskoczył na takich kijach, jak niektórzy wywiczni, ale do płotu blisko nie podejdziesz nawet, bo druty znowu. Ale ich tak nastawili, że [więźniowie] mogą przeskoczyć.

Tam był „politruk” [w obozie Nowosady], z tzw. *kawucze* — *Kulturno—Wospitatielnaja Czast'*. On też był więźniem. Czytał nam gazety — że *Angloamerykancy* znowu chcą atakować. Ale później uspokoilo się. I po jakimś czasie zaczęli Polaków do Polski wywozić. Coś w 1948 roku, zdaje się, pod jesień, nie pamiętam dokładnie. I powiedzieli nam — kto tylko jest Polakiem, wszyscy pojedziecie. Naprzód wzięli takich jak księży. Oni nie mieli żadnego przestępstwa, tylko tyle, że [Sowieci] bali się, że może kogoś zorganizować, bo człowiek mądry. Także — jak siedział ojciec za syna, syn był w partyzantce. Jak oni mówią: „znał, nie skazał”. Wiedział, że tam partyzantka zachodziła i nie powiedział, to był artykuł... Takich wzięli na początku i jeden transport odprawili. Nawet z sąsiedniej wioski był taki starszy gość, jego syn jeszcze chodził [w lesie] przy Ruskich, później go zabili; Janek, dobrze znałem go z partyzantki jeszcze.

A my czekali, czekali. Później słyszymy, że już jakiś transport z Brześcia wrócili z powrotem. Dowiedzieliśmy się — jakoś dochodziły słuchy, listy ktoś przysyłał czy coś. Że transport wrócili z przejścia z powrotem, przywieźli, w Polsce były niewygodne im polityczne sprawy i trzeba było wstrzymać.

No i nas jesienią na daleki etap.

W 1948 roku mieliśmy do Polski, późną jesienią 1948 powieźli nas na daleki etap. Przyszły już przymrozki. Do Moskwy zawieźli, tam *przesylne* więzienie, ogromne. Tam lepiej, chleb był lepiej wypieczony. Bo u nas stale mało chleba było, a jeszcze niedopieczony, surowy. Dziś ja może tyle chleba nie zjadam, ale wtedy człowiek głodny, zjadłby pięć razy tyle. Kiedyś taki Huszcza z Grodna założył się — ktoś dostał paczkę, gar aluminiowy 9—litrowy kaszy pęczakowej. Huszcza mówi: „Ja by takiej kaszy zjadł cały gar...”, a ten: „Masz, zjedz”. Założył się, zjadł. Ten z nadzoru widział; później w nocy przychodził patrzeć czy żyje. A Huszcza jeszcze pierwszy wstał, żeby na śniadanie iść.

Przywieźli nas do Moskwy. Tam duże więzienie, łaźnia. Na dziedzińcu całą noc żeśmy przeleżeli, zanim nas po kolei do łaźni, później dali cele, po 60 osób. Trafili się nawet Niemcy, oficerowie. Jak Niemców puszczali do domu, to [Sowieci] starali się za cośkolwiek im dać 25 lat; a najgorzej jak oficer był i jego trzeba było puścić do NRF — to 25 lat i do obozu. Za co? Coś tam było czy nie było, ale... Siedzieliśmy parę miesięcy w Moskwie, aż zorganizowali większy etap.

Etap z Moskwy — Niemców było dużo i różnych innych Moskwców. Trzydziestu Żydów z Moskwy, pracowali w ministerstwie, jak Izrael niepodległość uzyskał to chcieli do Izraela jako wyjechać. Ale Ruskich się bali, a Golda Meir była ministrem spraw zagranicznych [Izraela], chcieli, żeby domówili się, żeby Ruskie puszczali ich. Podali jej spis trzydziestu Żydów, wszystko pracowali w ministerstwie. Ta przyjechała do Stalina i zaczęła z nim rozmawiać, żeby Żydów, którzy mają chęć przyjechać do Izraela, puścić. A Stalin mówi: „U nas chyba takich nie ma, u nas Żydzi mają dobre stanowiska. Jeżeli któryś zgodzi się, to proszę bardzo.” — „Ja mam tutaj już trzydziestu...” Ona nie wiedziała

jego polityki. Stalin mówi: „Dam to swoim organom, niech zapytają”. A te jego organy zaraz ich za kołnierz i do koperty. I po 25 lat. I tak ich porozwozili po obozach, najgorsze roboty im tam dawali.

Wieźli nas na etap. Przyszła zima, już zimno było; starali się, żeby najgorzej męczyć człowieka. Wagony do wożenia cielaków – na 80 ludzi czteroosiowy, a jak dwuosiaowy, to w nim 40 ludzi było. Zrobili jakąś dziurę, żeby swoje potrzeby..., kozę postawili, piecyk, ale nie było czym palić, trochę węgla. W drodze nie dodali, zimno było. Z pociągu nas wyprowadzili na stację, posadzili na kamieniach, a tam było dużo Łotyszów i Litwinów, oni mieli niemieckie czapki jeszcze (bo w niemieckim wojsku byli) i oficerów Niemców było, i my byliśmy, dużo cywilów. A na dworcu nadeszło trzynastu łepków, i w nas kamieniami, „faszyści!” A konwój żeby cośkolwiek powiedział, nie wolno czy coś – ni cholery, rzucają w nas kamieniami. My się odgryzali do nich, to konwój jeszcze w nas. „Faszyści!” [na Niemców] – ja nie dziwuję się, ale że my musieliśmy cierpieć i że konwój tak sobie pozwalał? Dali wagony i wieźli, zimno...

[W czasie transportu] dawali nam chleb, przeważnie zmarznięty, siekierą rąbany na kawałki jak popadło. I ryby. Na stacjach, jak staliśmy, opukiwali młotkami wagony; może gdzieś przepiłowana deska, wyczuje zaraz. Opuka, później zachodzi do środka, patrzy czy coś nie jest piłowane. Był starszy w wagonach zawsze wybrany, jednego wystawiali. Wszystkich przeganiali na jedną stronę wagonu, osiemdziesięciu ludzi, a on zachodzi z drewnianym młotkiem i liczy każdego, i każdego musi uderzyć po łopatkach, po plecach. Raz, dwa, *bystro, bystro*. Jak zacznie szybko liczyć, ludzie szybko biegną i pomyli się. Z powrotem. Tak parę razy. Jak który [więzień] jest stary, nie zdąży przeskoczyć, to kilka razy po grzbiecie dostanie, młotkiem.

Raz mnie udało się. Byłem na górnej półce; stanąłem komuś na ramiona, jak stał pośrodku, i na drugą stronę skoczyłem. „O, tak trzeba” – mówi [konwojent]. Starsi mówią: „Tak, on młody, a my starzy...” Wody nie dawali. Okucie wagonu, na nim powstawał szron. Niektórzy więźniowie palili – chociaż nie wolno było, zabierali, bo drobny tytoń w oczy sypnąć można konwoju. Nie wolno, ale ktoś zawsze miał trochę, to zapalił sobie w wagonie. Jak palili, to szron później był gorzki. Sam próbowałem język namoczyć, tak sucho – nie da rady, gorzkie.

Patrzyliśmy tylko, głodni. Cała Rosja – ja nie wiem, za Moskwą, nic tam dobrego nie ma. Tylko zagajniki, jakieś chałupiki. Okno było, trochę krzyczeli, patrzyliśmy.

Przywieźli nas – Mordwińska Republika, stacja Pot'ma, *posiołek Jelaz*, obóz nr 14. Tam nam założyli *osobny reżim*, tzw. osobny kontyngent. Zaczęli umacniać płoty, tzn. my sami musieli umacniać. Tam kiedyś byli *bytowe* – złodzieje, kryminalni, ale teraz nas tam zawieźli. No i my umacniali płoty, później założyli nam numery. Naprzód były takie na szmatkach białych czarnym tuszem wybijane. Te szmatki za bardzo się obrywały, igłów nie ma. Ktoś tam specjalnie mówi: „Nie mam prawa trzymać igły, to i nie ma” [nie będę przyszywał numeru]. To później zmądrzyli się i nawet inne numery zrobili. Ja miałem 123, to później 392 zrobili. Jak ubranie otrzymywałeś, to z drzewa były wycięte numery, duże, większe niż rejestracyjne na samochodach. Ten, który wydawał ubranie chłórkę rozprowadzoną przyciskał do tego i wypalał numer. Białe, nieraz nawet dziura była w tym miejscu. Na plecach, na czapce z góry, na spodniach z przodu. Ubranie to nosiło się, aż się nie porwało.

Do roboty prowadził nas konwój; szliśmy po pięciu, trzymając się pod ręce. Jak popadnie ktoś kulawy to szarpie [cały szereg]. Zawsze [konwój] swoją modlitwę przeczyta: *szag w prawo, szag w lewo, liczy pobieg*, będzie strzelać bez uprzedzenia.

W Mordwińskiej republice pracowaliśmy w lesie. Dobrze nas ubierali, co prawda to prawda. Ja aż się dziwiłem. Bieliznę dobrą dali od razu. I kufajkę, później jeszcze spodnie watawowe i buszlat, czapkę. W lesie zejmowaliśmy buszlat, ciężko było. Wozili nas samochodami do lasu. Jak się wyrobiło procenty, dawali chleba, kaszy więcej. Ale nieraz miałeś zarobione, a u nich już limit skończył się – nie ma kaszy na magazynie i nie dostaniesz nic.

A inni ludzie pracowali na terenie obozu. Sieci robili rybackie, sznurki. My wiosną kory nazdzieraliśmy, tam dużo lip. Korę obcinali z lipy, później moczyli specjalnie w bagnie i jak później było to jak konopie. Wydzierali lyki i ręcznie wili sznurki. Później, mój znajomy, z sąsiedniej wioski, *Więcki* zrobił taki przyrząd, jak u od dziadów, pradziadów, do kręcenia większych powrozów. Jak to zrobił, to oni go jako racjonalizatora narysowali na tablicy; oni nie wiedzieli nic. Jaki racjonalizator? Nasi dziadkowie, pradziadkowie już to stosowali.

W lesie przecinaliśmy przecinki, konwój stał po rogach i z karabinami sobie siedzieli; ognisko rozpałił, a my robiliśmy, trzeba było wszystkie gałęzie spalić. I raz był wypadek. Znałem takiego, on był z *bytowików*, ale później coś tam narobił w obozie, że dali go do nas jako politycznego. Taki młody. Nie chciał pracować, jego brygadzysta stale bił, poganiał, stale go w kołnierz lał. Aż on powiedział: „Kiedyś ci się za to odwdzięczę” – to brygadzysta jeszcze więcej. No i pewnego razu siedział ten brygadzysta i majster – też więzień musiał mierzyć, żeby było na kawałki pocięte jak się należy i odliczał ile zrobione – przy ognisku. A ten młody podeszedł, ruskie siekiery są dosyć szerokie. Jak im po głowie dał, to głowy na pół rozwalił. I nic jemu nie było, w karcerze posiedział, pytali innych co było z nim. „A – mówią – [brygadzysta] stale go bił...” I nie sądzili.

**Pyt.:** Nie pamięta Pan jak on się nazywał?

Nie pamiętam, był w innej brygadzie, nie w naszej. Innego, też młodego, konwój posłał, żeby przyniósł suchego drzewa na rozpałkę. U nas, [gdzie akurat pracowaliśmy], suchych nie można było znaleźć. Jak przecinkę robili, tworzyła tzw. *zonę* [ograniczającą miejsce pracy] – konwój jeden tam, drugi tam siedział, żeby jeden drugiego widział. Gałęzie suche leżały już po drugiej stronie zony. Konwój na tego młodego mówi: „Ty przyniesz drzewo.” Siedział na pieńku z karabinem, nie może sam iść zbierać. „Idź tam, za zagrodzeniem.” [Więzień] mówi: „Mnie tam nie wolno chodzić.” – „Ja ci pozwalam, to dla mnie idziesz, dam ci zapalić” – mówi. Dobrze, poszedł. Poszedł, tylko przeszedł na drugą stronę *zapret – zony*, a ten jemu pach! zastrzelił. Ja nie wiem po co to było, ten człowiek nic jemu nie zrobił.

Byli tacy, co nie chcieli pracować, to stawiali ich na pień. Rozbierze do bielizny, na pień, mróz, stoi, a obok konwój; ruszysz się to będą strzelać. Ten jak zmarznie, zacznie krzyczeć, jęczeć, to go puszcza. To przyjdzie, weźmie siekierę, na pień położy palce, obcina i już do roboty więcej nie później. Z początku [nadzór] nic z tego nie robił, a później zaczęli sądzić za samoobrabowanie, wyrok dodawali.

Był w obozie Kozak, doński czy kazański. Taki był, że nie lubił czapkować kierownictwu; a trzeba było się uklonić, dzień dobry... być dla nich miękkiem. A ten był brygadzystą na budowie, znał się trochę na ciesielstwie. Raz poszliśmy na stołówkę, ten Kozak po obiedzie naostrzył siekierę – tam była na ostrzenie nakręcona szlifierka. Później położył [dłoni] na to drzewo, pach! palce. Nic nikomu nie mówił, zawiązał rękę kurtką, wziął cztery palce – a one jeszcze się trzymały jeden za drugi – i poszedł. To było na terenie obozu. Poszedł do naczelnika *reżima*. Otwiera drzwi i rzuca



mu na stół. A ten: „Co to?”, przestraszył się. „Masz, piłeś moją krew, to [teraz] jedz moje mięso.” (Jego często do karceru wsadzali.)

Po chwili przeprowadzili go do lekarza, zawinęli rękę i na specjalne reżimne obozy, karne, dołożą wyrok jeszcze. Ale nie liczył się, ładny chłop był, młody.

Później kopaliliśmy. Tam był las, parę lat wcześniej go wycięli, jeszcze pnie były sprróżchniałe. Tamwsadzili ziemniaki. 30 ha tej ziemi, nas dwie brygady, musieliśmy skopać. Konwoj tylko szedł, poganiał: „Dawaj, dawaj”, a my kopaliliśmy. Później sadzali ziemniaki. Kilometr czy półtora od nas był kiedyś obóz, teraz zlikwidowany. Założyli tam fabrykę *szwiejną*, szyli płaszcze. I zaczęli ludzi nabierać. Myślę sobie: „Mam po lasach chodzić, męczyć się? Pójdę, jak raz się nauczę — u nas kiedyś trzeba było dwa lata się uczyć krawcowym i płacić jeszcze, tu może się nauczę. — I zawsze cieplej.” A oni — proszę bardzo, jak chcecie. Później żałowałem, kurzyło się, brezenty szyliśmy, siedzieć obrzydnie. Ale tam długo nie porobiłem.

W Pot'mie spotkałem litewskiego ministra oświaty, przedwojennego, był bez wyroku. Starszy gość wysoki. On mówił: „Wy to wiecie, że kiedyś wyjdziecie, a ja nie wiem.” Człowiek był niebezpieczny i bali się, żeby coś nie organizował. Był też Ruski, generał — lejtenant, Aleksandr Hawryłowicz Kalinin, 64 lata. Został z tyłu [frontu], zaczął partyzantkę prowadzić, a później nie wytrzymali — Niemcy rzucili ulotki, to on kazał złożyć broń i cały jego oddział wzięli do niewoli. Za to później 10 lat dostał. I ten Siergiejenko jego stawiał na zawiadującego kuchni, żeby trochę lepiej miał.

W Mordwińskiej Republice jak byliśmy, rozbieraliśmy obóz, już był likwidowany, las wypiłowany. Drzewo nosiliśmy za płot, za zagrodzenie, tam były tory i mieli na wagony ładować. Nosiliśmy — dwóch Litwinów, Ukrainiec i ja. To Litwini po swojemu; jak mamy rzucać, oni po litewsku [mówią sygnał] i wyrzucają. A my nic nie rozumiemy, jeszcze z przodu szliśmy; nieraz nam ramiona odbiło. Zaczęli na nich krzyżeć: „Co się wygłupiacie, trzeba jakąś komendę, ogólny język jest rosyjski.” A oni: „Po co nam rosyjski, jak tu żadnego Ruskiego nie ma? Po co mamy po rusku gadać?” — „To gadaj po ukraińsku czy po polsku, we wszystkich językach przemawiaj i dopiero rzucaj!” — „No to my was nauczymy po litewsku” — mówi. Takie są zażarte.

Później powieźli nas do Karagandy. Też tak samo, zimą. Człowiek przyzwyczajony po lasach, a tam... Powiedziałem sobie — tu to już zginiemy. Mróz, równo z człowiekiem śniegu. Z innych obozów nawieźli nas, do obozu *przesylnego*. Draka była. Ruskie, tzw. *blatnyje*, z Litwinami. Litwini zadziorni, jak ich było gdzieś więcej. Złodzieje lubili, żeby coś skraść, a oni, Litwini otrzymywali paczki i mieli coś niecoś do zjedzenia. Draki były.

Pyt.: Te obozy były blisko miasta Karagandy?

To było, można powiedzieć, w mieście. Tam „Szanghaje” różne [dzielnice?]; to przy brzegu było. Miasto rozciągnięte na 30 km.

Chodziliśmy tam naprzód na budowę, co Niemcy robili i Japończyki, później na inną. Później na kopalnię, budowę szybu. Tam nazywali *stwor*, tu nazywają szyb czy sztolnia, czy jak. Dziewięć metrów średnica, taka studnia. Młotki pneumatyczne, szesnastu ludzi bu, bu, dawali. Później okładali po bokach, mieli takie szyny, rozpierali wszystko i na to okładali pustaki, cegły betonowe. Okładane to było i zasmarowywali niby, ale i tak woda podskórna przechodziła.

Tam porobiłem, później zobaczyłem, że ubranie brezentowe, kapelusze brezentowe, woda leci po szwach; czasami i cały dzień — przemięknie wszędzie. Buty gumowe dali. Powietrze tam pompowali i wyciągali, ale jakieś niedobre. Ja odmówiłem później tej roboty. Miałem okazję, że nie mam palca — dowiedziałem się, że musi w kopalni pracować ze 100% zdrowiem. Posiedziałem w karcerze, później przenieśli mnie do BURu, też w obozie — zagrodzone jako więzienie, tylko do roboty mieli prawo wyprowadzić. Dawali w karcerze tylko 300 g chleba i raz na trzy dni zupy. A tak szklanka wody do chleba. A w BURze już normalnie, dawali wszystko, mogli do roboty nas wyprowadzać.

W BURze siedziały jeszcze inne chłopaki. Oni mówią: „załóż głodówkę”. Ja mówię: „Boję się — widziałem niektórych, szlauf podsadzali i pompowali im jakieś kasze manne. — Nie chcę tego”. Oni mówią: „Nie damy, stąd nie wyjdiesz; nie przyjmuj [jedzenia] i tyle”. Tam jeden mówi: „Ja mam trochę cukru, dam ci na podtrzymanie” — i ja tak założyłem [głodówkę]. Napisałem podanie — tak i tak, jestem niestusznie tu karany, ponieważ nie jestem zdolny do kopalni. Śledczy obozowy zawołał mnie, zaczął swoje. Bo zagrozili, że mnie sądzić będą. Ja mówię: „Jestem sądzony, ile razy będziecie sądzić?”

Nareszcie zrobili tak, że ja chciałem prokuratora *po nadzoru*, żeby nareszcie coś zrobił. A oni kręcili, męcili i przyjechał naczelnik *Sanczasti*, on był *uprawlenie*, i mnie wywołują. „Chodź — mówi — jestem kogo ty chciałeś”. Ja myślałem — może prokurator przyjechał? ale ten Woronkiew był dość porządny człowiek, dla ludzi. Jego żona była lekarką, on też. Chociaż też był NKCHB, ale względny. No i pyta mnie: „Dlaczego do roboty nie chcesz iść?” Mówię: „Ja do roboty chodzę, ale na kopalnię nie chcę iść. Ta robota nie jest dla mnie. Ta robota — mówię — powinna być obłożona złotem, a tu nawet chleba nie dajecie”.

Naczelnik kopalni był Polak, z tych miejscowych — tam w Karagandzie dużo jest; inżynierem był, z wolnych. To on chciał sam zrobić dodatkowe [pożywienie dla tych,] co na kopalni robią, żeby gotować kaszę, czy chleb. To kierownictwo obozu nie zezwoliło — nie wolno, za dobrze [więźniopwie] by mieli. Mówię [dalej]: „Po drugie moje zdrowie nie odpowiada do [pracy na kopalni].” — „Na komisowce wy byli?” „Byli”. Pyta się cicho naczelnika: „To kogo wy daliście, wiecie, że na kopalni musi być 100% [zdrowia]. Mało tu jest zdrowych ludzi?” Ten odpowiada: „Naczelnik mówił młodych dać...”

Mnie powiedział, że napisze do naczelnika robót; „Masz pracować na terenie, na kuchni czy gdzieś. Za to, że cię męczyli w karcerze niesłusznie, trochę odżyjesz.” I tak wyszło. „A wy żebyście nie próbowali nad nim jakiejś zemsty.”

I co prawda, nie powiem – dali mnie na kuchnię. *Balandę* zrobić to każdy potrafi, ale tam niektórzy byli tacy, co byli kucharzami naprawdę. Taki był Ukrainiec, kiedyś na statkach gotował, na Czarnym Morzu pływał. Brzuch wielki, miał jeszcze cztery lata w obozie.

Później zaczęli nas przewozić do drugiego obozu. Ja byłem na tym II Łag – punkcie, akurat jak Stalin zmarł. A my nic nie wiedzieliśmy, bo nie było w obozie radia ani nic. Prowadzą nas pod konwojem koło kopalni tam 40 czy 70 i patrzymy, że na kopalni wisi chorągiew z czarną obwódką – ktoś *padoch*. Patrzymy – kupy węgla, nałożono dużych kawałów, palą się te stopy. „O, jakaś lepsza szyszka...”

Przyjechaliśmy do obozu, tam pracowaliśmy. Tam też zagrodzone wszystko jak się należy, bo tam pracowali więźniowie, wzmocnione. Przyjeżdża kierowca, Niemiec (w Karagandzie jest bardzo dużo Niemców z Powołża), ładowaliśmy mu trociny. Pytamy go – kto tu u was umarł, że tak tego... On mówi: „Stalin *padoch*”.

Później przywieźli nas na I obóz, albo na III, nie pamiętam. Na I był strajk. Rusek siedział w karcerze, pobili go [*nadziratiele*], później my zorganizowali innych, żeby podjąć jakieś decyzje, żeby [tak nie było] na następny raz... To było już po Stalinie, po Berii; było jakoś głupio, bo miało być lepiej, a tu nic lepszego. Numery kazali nam zdejmować; jakiś pułkownik miał przyjechać, z nami pogadać, to jak komuś przeświecały numery – zamalowane – nowe ubrania dawali, bo „pułkownik przyjedzie”. A on nas zebrał i mówił; „Już po Stalinie, po Berii, wy jesteście tylko tymczasowo izolowani. W każdej chwili możecie wyjść jako dobrzy obywatele, bo teraz różne takie sprawy...” Tak nas pocieszał.

**Pyt.:** On był miejscowy czy z Moskwy przyjechał?

Z Moskwy. Nareszcie później pozwolili nam włosy nosić, tylko dobrze w porządku trzymać – dotąd nie wolno było, na goło obcinali. Teraz już trochę inaczej wyglądało. Bez konwoja zaczęli puszczać politycznych – kiedyś nie puszczało: tylko do roboty i z powrotem do obozu.

Organizacja [więźniów] była taka, że byli ludzie wyznaczeni, po dwóch, trzech, na barak. W drzwiach mieli zapowiedzieć strajk na jutro, i uprzedzić, żeby ktoś się nie wygłupił. Byli tacy, którzy mieli dostęp gdzie można było wyłączyć światło. Wyłączyli światło po barakach. Później każdy w swoim baraku, pod drzwiami stał i powiedział, że nie wolno wychodzić jutro do pracy, strajkujemy w związku z tym, że człowiek został pobity. Jeżeli ktoś się wygłupi, niech sam na siebie narzeka. No i nikt nie wyszedł [do pracy]. Tak trwało.

Pawłow, naczelnik obozu, *starszy liejtienant*, próbował wyganiać. Naprzód do naszego baraku *bezkonwojni* przyszli; my mówimy: „My też nie chcemy [strajkować], ale co, jesteście więźniami: [inni] mogą nas zamordować.” Mieliliśmy wymówkę. Zostawało nam parę miesięcy [do końca wyroku], nikomu się nie chce teraz iść na tamten świat. W pierwszym baraku przy portierni próbował wygonić [więźniów do pracy], to jak go pogonili.. Kawał chłopca był, przez okno wyskoczył.

Trwało parę dni to, ale później nareszcie ludzie zrezygnowali z tego wszystkiego. [Władze obozu] zaczęli różnie podchodzić – to, tamto, że ukarają kto winien... I poszli[smy] do roboty, na tym się skończyło.

**Pyt.:** Czy w czasie waszego strajku wysuwalicie jakieś żądania oprócz uwolnienia tego pobitego?

Chcieliśmy. Żądania ukrania administracji, kierownictwa administracyjnego, że nieprawnie postąpili...

**Pyt.:** Z tym człowiekiem?

Tak. I oni obiecywali, że ukarają; ale kto tam może wiedzieć co zrobili. Może później przewieźli na drugi obóz tego *nadziratiela*, który pobił.

**Pyt.:** Ale przyjechał do was ktoś z Moskwy, z głównych władz?

Nie, tylko z *uprawlenija* miejscowego. [Miejscowe władze] Moskwy nie chcieli, starali się [sami to załatwić]; na swoją głowę nie będą sprowadzać. Tak jeden drugiemu szli na rękę. Najwyżej może *nadziratiela* ukarali, może zwolnili, przenieśli.

**Pyt.:** A czy jakichś Polaków Pan pamięta z Karagandy, z tego obozu, gdzie był strajk?

Pamiętam, dlaczego nie. Oni byli ze mną, później inni. Niektórzy już na pewno nie będą żyć. Jasiukiewicz, Rutkiewicz, Eliminowicz, Maciężyk – był komendantem AK na Wołyniu, a później przyjechał do rodziny gdzieś w Lubelskim. Dawidzik, Szot Jan.

Zaraz potem z tego obozu nas, *bezkonwojnych*, przewieźli na obóz trzeci (III). Też tam pracowałem, nawet na *wysokowolnej linii* (wysokiego napięcia), kładliśmy fundamenty pod słupy. Na święta chodziliśmy po mieście, normalnie. Już ludzie tam otrzymywali pieniądze, pracowali. Mnie Polacy, którzy byli w obozie, prosili, to na święta nawet wódki przyniosłem do obozu. Raz przyszedłem, a oni [*nadzór*] już wyczuwali, donosiciele byli, że nasze święto. Jak *bezkonwojne* wchodzili do obozu, to nas już tak kontrolowali, wszędzie, żołnierze z *ochrany*, żebyśmy nic nie przynieśli. Pół litra kosztowało wtedy, na stare pieniądze, 50 rubli. Przyniosłem, trzymam, pierwsi przyszliśmy, czekamy, pod bramą nas czterech ludzi. Mówię: „Poczekajmy, bo mam wódkę i teraz mogą mi zabrać. Jak będzie więcej [ludzi], większa szumowina, może jakoś przejdę.” Przyjechali *bezkonwojne* z innego miejsca, nakupowali bułek dla tych w obozie. Jeden Ukrainiec, znajomy, starszy gość, całą torbę miał różnych bułek. Mówię mu: „Daj mnie tę

torbę." Butelkę wsadziłem szyjką w buty, z cholewami, spodnie na wierzch napuściłem. Wziąłem od starego tę torbę, trzymam ją z przodu i idę sobie. Strażnik mnie wszędzie szuka, szuka: torba. „Co tu masz?” – „Bułki.” No i rozprowadziliśmy ten spirytus, od razu waliśmy do kubków, żeby nas nie zauważyli. Pozwolili nam, Polakom, w stołówce robić Wielkanoc czy coś tam. To już ostatnie czasy, jak *bez konwoja* chodziłem. Zaszedł dyżurny oficer, „No jak tam?” Kazik Rodkiewicz, starszy gość był ode mnie, mówi: „Proszę wypić kompotu...” Zapomniał, że z tego kubka była wódka. Nalał, oficer kompot wypił, ale wyczuł trochę wódkę. „Uważajcie – mówi – żeby było spokojnie.” Bo oni się boją, że jak się niektórzy napiją, mogą buntować się, szumieć, rozrabiać. Ale spokojni byli wszyscy.

5 lat przebyłem w Karagandzie, ostatnich.

Zaraz za Karagandą, na północny wschód był obóz. Za horyzontem wieczorem widać było łunę światła. Pytaliśmy jednego kierowcę: „Co tam jest? Bo wolnych my pytali, nikt nie wiedział.” On mówi: „Ja tam zawoziłem produkty. To jest zamknięty obóz, tam sami pułkownicy, profesory, jakieś lepsze szyszki. Po kilku, po trzech ludzi siedzi w celach. Dają im tylko czytać książki, gazet specjalnie nie chcą dawać, żeby nie wiedzieli co się dzieje. Listów nie mają ani paczek, nic.” Podobno karmią ich trochę lepiej, ale jego [kierowcy] nawet nie zapuścili zawozić do środka. Mówił: „Mnie tylko przed tym, z daleka, a później bierze jakiś żołnierz, tylko od jednego się dowiedziałem.” Taka sprawa, tylko nikomu nie wolno powiedzieć.

Pani pytała czy byli, jak u nas nazywali, *stukacze*, kapusie. Dużo było. Takich zabijano i nikt nie wiedział kto i co. W jednym miejscu to ja nawet wiedziałem, kto. Były takie ziemianki, przywieźli kilku wariatów, jednego nawet Polaka; lekarz był nad nimi. W tej ziemiance dużo ich nie było. Niektórzy mieli padaczkę. Jeden [z nich] był przedtem w niemieckim obozie. Tam nie wolno było chodzić w swoim ubraniu, tylko w więziennym – *osobny reżim* – ale on chodził w swoim. Pytali go, dlaczego nie ma numeru? A on mówi: „Tu mam numer” – pokazywał jeszcze z niemieckiego obozu. Był jakimś dobrym malarzem, miał całą walizkę farb, ale często mu dochodziła padaczka, choć był taki twardy. Później mu dawali na uspokojenie, coraz dalej, dalej i wykańczał się, umarł. Inny był taki, młody, ze złodziejasków; też padaczkę miał, dostawał już fisia. I Ukraińcy, ci od Lwowa, zechcieli zorganizować... Ja widziałem, jak stałe z nim rozmawiali; domyślałem się, że to tak było. Stałe rozmawiali, dłuższy czas – widziałem – spotykali się. A był taki Poddubny, też Ukrainiec, ale ze wschodniej Ukrainy. A te nasze Ukraince, co byli pod Polską, nie lubili Ukraińców wschodnich, mówili, że tamci są „czerwone”. Nie wiem, czy Poddubny był [kapusiem], ja bym nie powiedział. Po niektórych było widać, że są kapusiami, ale po nim nie; ale może i był. Nareszcie Ukraińcy [zachodni] namówili tego głupka. Poddubnego postawili jako zawiadowcę klubu, *kawucze* – w ziemiance była świetlica, książki można pobrać do czytania. Ten głupek doszedł, 13 noży w plecy. I później słyszałem od Ukraińców: to był kapuś. Może i był, ja nie zauważyłem.

Jeszcze na pierwszym łag – punkcie [w Karagandzie] dwóch [więźniów] zostało zwolnionych po lekarstwa, jeden Żydek, jeden Rusek. W baraku był kolchoźnik, tzw. głośnik, ale główne ramię, które go przekazywało było za zagrodzeniem. Oni, jak to polityczni, słuchają. No i wysłuchali, że uznano Bierię za wroga. My przychodzimy, pytamy co nowego. A oni: „Wiecie co, mamy ważną sprawę; coś teraz będzie. Bierię uznali za wroga, został aresztowany.” To się rozniosło, wszyscy zadowoleni, zaczęli gadać. Ale „gumowe ucho”, kapusie zaraz donieśli. Im dawali więcej zupy czy coś. Kucharze wiedzieli; ja byłem na kuchni, to od razu wiedziałem. Przychodził naczelnik reżima i mówił: „Temu i temu dajcie zupy więcej, jak zostanie.” Nieraz specjalnie dolewałem zimnej wody do zupy.

Doniósł jakiś kapuś do nich, że na Bierię takie pogłoski. A oni nic nie wiedzieli, zaraz naczelnik *reżima* przysłała gońca – tego i tego do naczelnika. To poszli, wcale się nie boją. Żydek został na korytarzu, a Ruski zaszedł pierwszy, bo po jednemu.

– Słuchałeś radia?

– Słuchałem.

– Słyszałeś, że Bierię uznali za wroga?

– Słyszałem.

– Jak tak możesz, ty wiesz kto jest? Sądzić będziemy.

Żydek słuchał za drzwiami, już w strachu. Ten Rusek mówi:

– Tak było, co wy do mnie macie? Sprawdźcie za zagrodzeniem. Był ze mną Bielinkij...

Wezwali tego Żydka, [Rosjaninowi] kazali zostać.

– Byłeś z nim razem? Słuchałeś radia? Co słyszałeś?

– *Logkaju muzyku*.

Rusek mówi: – Przecież to samo słyszałeś, co ja.

A ten Żydek: – Ja? *Logkaju muzyku* słyszałem.

Do naczelnika ktoś mówi: sprawdź w innym miejscu, może ktoś inny słyszał. Tych przymknął, poleciał, zaraz przybiega. Mówi: „Wiecie co, wy *prawy*, ale tak nie można od razu, może być wielki szum, a wy rozgłaszacie.” Wypuścił ich.

Jeszcze nie wierzyli. Później jak uznali, ludzie zaczęli ich od „Beriów” przezywać, ale jeszcze swoje trzymali. Jeszcze po Berii, po wszystkim powstanie było, jeszcze natłukli tylu ludzi i strajk był jeszcze.

Pyt.: Strajk w Pana obozie był niedługo po śmierci Berii?

Tak, w tym samym roku.

Pyt.: A ten pod Dżezkazganem był później?

Też zaraz po Berii, po Stalinie... Nie, tam zaraz po Stalinie. Na własnym rozrachunku obozy i nie można było nic kupić; pieniądze dawali, a jedzenia nie było. U nas dawali też, z początku bardzo słabo, później trochę lepiej, bez konwoju to poszli i kupili. Z początku dali tylko chleb i drobne rybki. Później polepszyło się, jak na własnym rozrachunku. Dostałem 50 rubli, mogłem kupić chleb, nie był drogi, cukier i herbatkę. Chleb, nieraz kupiło się bułki. Później chleb zostawiali na stole, po prostu *pajkę* chleba, 600g, zupy połowę się zje, połowa zostaje, to zaczęli krajać chleb na kromki i na półkę wykladać, racjonalnie. Kto ile chciał to wziął, ktoś nie pracował czy nie miał za co kupić, to wziął więcej chleba, zupy.

Oni się bali później, bo były strajki, powstanie, okropne rzeczy.

Pyt.: A skąd się Pan dowiedział o tym powstaniu w *Dżekazanie*?

Już później, jak wyszedłem na wolność, słyszałem o tym, słuchy dochodziły. Ludzi [stamtąd] spotykałem na wolności.

O *blatnych*. Lubią okradać drugich. To nareszcie innych zgiewało, zorganizowali się Estońcy, Łotysze, Litwini, uzbroili się w łomy, noże i do ataku. To chłopcy są zdrowe, wysokie, a te Ruskie zbiedowane w wojnie, takie drobne to było. Dawaj ich ganiać. Tak ich tam rżnęli — [*blatni*] na bramę szli, a konwój wychodził z *pepeszami*; zaczęli strzelać do góry, a oni na bramę leżeli, pochowali się po krzakach. Niektórzy nachodzili ich, lali, te Estońce to wysokie chłopcy. Łotysze to spokojni ludzie, cierpliwi. Litwini więcej bystrzy, bardzo lubią, żeby ich język ktoś przyjmował. A tamci swojego języka nie lubią uczyć, ja tylko parę słów znam po estońsku, po łotysku; oni nie lubią, a Litwini po prostu wymagają.

Pyt.: Ta bitwa Litwinów i Estończyków z *blatnymi* była po śmierci Stalina już?

Nie, jeszcze przed, to były pierwsze lata jak przyjechaliśmy do Karagandy.

Później dawali nam zaliczenia. Zależy ile procent wyrobiłeś, zaliczali dzień za dzień, dzień przepracowałeś to dwa dni zaliczali, a też za dzień pół dnia zaliczali, zależy. Mnie z półtora roku zaliczenia odeszło i wyszedłem na wolność. Wiedziałem do czego dążę, bo już przede mną inni wychodzili. Niektórzy byli sądzeni od razu na 10 lat [obozu], 5 lat zesłania, 5 lat pozbawienia praw publicznych; ale ja tego nie miałem. I dużo kto nie miał, ale zostawiali po prostu na zesłaniu i tyle. Jak wychodził z obozu to dali ci tylko kartkę, że jesteś zwolniony i na *spec — komendanturę* w Nowym Mieście w Karagandzie trzeba było się zgłosić. Tam zarejestrowali, trzeba było podpisać formularz, że w razie samowolnego wyjazdu z miasta Karagandy 5 lat więzienia obozu znowu. I powiedzieli: szukaj po całej Karagandzie sobie roboty.

Takim dwóm Litwinom udało się. Jak wyszli z obozu, zanim poszli do głównej komendantury i podpisali, pojechali do Wilna, odwiedzili rodzinę i przyjechali z powrotem. „No trochę później, ale byliśmy u znajomych, popiliśmy, nie chcieliśmy pijani do was przychodzić.” I dobra. Byli u rodziny parę dni, zobaczyli się — ale to jechać szmat drogi.

Później chciałem zarejestrować się. Chodziłem, tam było biuro, żeby do Polski wyjechać. „Jakie papiery masz?” — „Nie mam żadnych papierów, z obozu? Byłem młody, nie miałem żadnych papierów, potem wojna, po wojnie zesłano.” — „To czym możesz udowodnić?” Mówię: „Jest w dokumentach obozowych. Ostatecznie pójdę do obozu, tam jest zapisane, szczegóły istnieją...” Samo główne biuro było w Karagandzie, *uprawlenie, Pieszczanyj łagier*. „Nam to nie, musisz mieć *wyzyw*, rodzina czy ktoś.”

Do poselstwa [polskiego] pisałem dwa razy, do Moskwy, prosiłem ich. Politycznie podchodziłem, że chcę budować swój kraj, a nie tutaj, ale i tak nic z tego. Brat z Polski też napisał do poselstwa. I nic, nawet odpowiedzi nie przysłali. Aż dopiero jak Gomułka nastąpił, to mnie przysłali wezwanie z *NKChB*, żeby zgłosić się do komendantury. Gomułka nastąpił, to żądali, żeby Polaków sprowadzić. Z komendantury mnie wysłali do obwodowej milicji w Karagandzie. Wysoki oficer Kazach: „Ty *Palak? W Polsce chcesz jechać?*” Ja mówię: „chcę”. „A masz jakieś dokumenty? Byłeś w *awirze?*” (To takie biuro). Mówię: „Nie mam dokumentów i nie chcę tam ze mną rozmawiać.” — „A w Polsce kogoś masz? Listy otrzymujesz?” — „Otrzymuję”. Brat parę słów napisał. „To — mówi — ten list zanieś; tylko z kopertą, bo list można napisać, że to z Polski, z pieczęcią.” Zaniósłem.

Po dwóch tygodniach zgłaszać się, przyjęli. A później z poselstwa — patrzę, jeden list, drugi list, trzeci. Napisane, że w 1939 roku byłem obywatelem polskim, że mam prawo, i pouczenie gdzie to złożyć; po polsku napisane.

Nie przeszło dwa tygodnie, znajomy, który ze mną razem składał, już załatwił papiery na wyjazd. Poszedłem, już jest. Oficer grzeczny, rękę podaje, „Nie wspominajcie nas źle...” Ja mówię: „Dobrze też nie ma co wspominać.”

Zadowolony byłem jak nie wiem. Jeszcze mnie nie chcieli zwolnić, pracowałem na tartaku i nie mieli kim mnie zastąpić.

Były różne dzieje. Ostatnio już źle tak nie było, można było żyć.

Jak się wychodziło do pracy była zorganizowana orkiestra — siedziała i grała. Nieraz ktoś uciekał, to przyprowadzą go, postawią po jednej stronie bramy, a my idziemy, przechodzimy do roboty, orkiestra po drugiej stronie gra, a ten psami poszarpany albo nieżywy leży zabity, bo próbował uciekać. A orkiestra grała.

Jeden był taki Budrewicz, koło Lidy pochodził. W ogóle nie był winien, nawet niepiśmienny był; taki mały, wyrostek i dali mu politykę. Jakiś jego sąsiad wyjeżdżał do Polski (tam Białoruś zrobili), zostawił dom. Budrewicz chodził sobie, szabrował i pod strychem znalazł pistolet, trochę amunicji. Chodził i wrony strzelał. Ktoś doniósł do *NKChB*, przyjechali. A on akurat w polu orał, siostry nie powiedziały, gdzie jest. *NKChB* pojechało, a on zaczął się

chować, tam był nieduży laszek. Przynosiły mu jedzenie, nieraz do domu przyszedł. Ktoś doniósł, że go zauważył; musieli ludzie donieść. Przyszli *NKChBiści* do tego lasku i jego z pistoletem złapali. Z bronią w ręku — partyzant. Nawet nie umiał podpisać się. 10 lat. Pracowity był, na budowie, przepukliny dostał. Później go zwolnili i powiedzieli, że siedział niewinnie. Wyrok już i tak skończył, bo miał zaliczenia. „Niewinny jesteś...”

Opowiadał mi jeden, był u nas potem w zaopatrzeniu, nazwisko Kowal, Ukrainiec, spod Kijowa, wysoki, czarne włosy, był kiedyś *lejtenantem* czołgistów, ale bardzo dobry człowiek. Opowiadał jak się dostał do obozu. „Wy teraz macie możliwie, bo kawałek chleba chociaż dostaniecie, a jak nas tu przywieźli z wojska, zdemobilizowali...” W kopalni mieli pracować. Był barak, w nim nic — podłoga i kto co miał, jakieś ciuchy; sprzedawali i jakoś żyli, później wszystko się pokończyło. Jak ktoś coś miał, to napadną na niego, pobiją i zabiorą. W końcu baraku odgródzone pokoiki, jak była jakaś rodzina, mąż z żoną to mieszkali tam.

Wokół Karagandy przeważnie mieszkali wysiedleni. Tam jest *posiołek* Michajłowka, gdzie sami Polacy, od Żytomierza, od Kijowa, w 1926 roku wysiedleni. Trzymają się, nazwiska, imiona polskie. I Niemcy z Powoźza są. I tam ich znowu nazywają „kułakami”. Ich wywieźli niby jako kułaków, a chodziło w ogóle o zemstę na Polakach. I teraz o nich nadal: „Te kułaki z Michajłowki”. A Ciechanowka znowu z drugiej strony miasta, Ukraińcy tam są i Ruskie kułaki. To ludzie, którzy kiedyś potrafili żyć, zrobili ogrody. Tam ziemi nie za bardzo, ale była dolina, coś mieli, pracowali. To dobrzy fachowcy, pobudowali sobie ładne domki i dają radę. Kapliczka, kościół mieli. Niemcy przychodzili tam i Polacy. Nie mieli księdza, sami śpiewali, zbierali się. Jeden ksiądz, zapomniałem całkiem nazwisko, gdy z obozu wyszedł tam poszedł, został. *Kaszawska obłast*. Kupili mu „*Pobiedę*”, dali kierowcę, który go woził — na jakiś ślub, chrzest. Zanim go nie ma, to kobiety same śpiewały, a on przyjedzie to pochwali, patrzy — skąd wytrzasnęli taki nowiutki obraz Serca Pana Jezusa? Czy to z Polski ktoś przywiózł? Mówił: „Wiecie co, chłopaki, ja nie mogę, ja jestem na to poświęcony i powołany, tu ludzie mnie potrzebują” — i został. Starszy gość już był.

W obozie w Nowosadach był jeden z mojej miejscowości, Burdziej Michał. Był w partyzantce, później coś źle z granatem się obchodził, daleko od domu i granat rozerwał mu rękę. Gdy był w partyzantce, jeszcze kawalerem, ładny chłop, miał dziewczynę. Teraz wyszła za niego za mąż, ofiarowała się. Sam jakoś przyszedł te parę kilometrów, ręce poborywane... Pawłowski, z tej samej wioski, mieszkał w Warszawie, mówił mi o tym. Dziwił się, jak on [ciężko ranny] przyszedł. I biedny siedział też w obozie. Później robili badania, kasowali chorych i zwolnili go. Podobno w Polsce był magazynierem.

W Nowosadach spotykałem, z mojej wioski: Piotrowski i Mikiaszewicz. To krępe chłopcy byli.

Romańczyk Tadeusz z Wołkowyska — skazali go na 20 lat katorgi, był na Kołymie, kopał złoto. 80 g złota trzeba było wykopać na jednego. Tam nie było niedzieli, żadnego wolnego, mróz do 60 stopni dochodził. No i głód, jak nie wypracuje swojej normy to dawali 400 g, później 300 i do karceru. Jak wszędzie, w innych obozach też tak było, u nas tak samo. Wykańczali się ludzie. Jak przyjechało statkiem 14 tys. Ukraińców i Polaków, w 1944 roku, to w 1947, jak stamtąd wyjeżdżał, mówił — góra 4 tysiące zostało. Romańczyk miał żyły na wierzchu, chorował po obozie. Mnie później sąsiad jego mówił. Wypuścili go później do domu i po 3 miesiącach w domu zmarł. Komuś z brygady Romańczyka się udało. Tam kłujesz ściany — skała, nieraz cały dzień nic się nie nie trafi, a nieraz trafi. Jedmu trafił się taki zaciek, 3 kg miał. On się polakomił, bo mówili, że jak ktoś wyciągnie większą ilość, to na wolność puszcza. I oddał im. Co prawda — mówił — trzy dni cała ich kopalnia miała wolne, a jego gdzieś tam powieźli, na drugą kopalnię. Stamtąd powrotu nie ma.

[koniec]